



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



GROBOWCE STAROŻYTNÝCH RZYMIAN.

W ostatnim wieku przed narodzeniem Chrystusa, przestano w Rzymie grzebać ciała zmarłych, paląc je natomiast na stosie. Wyprowadzano je z domu wśród odpowiednich

ceremonii na plac pogrzebowy, gdzie czekał na niego miast mogiły. Po chwili podpalano go na wszystkie strony, a skoro zagaśł ostatni płomień, zbierano st

pozostałe popioły i składano je do urny, mającej następnie zająć miejsce w podziemnych sklepieniach, na ten cel przeznaczonych. Ludzie zamożni budowali zwykle odrębne ginachy, dla składania w nich popiołów swoich rodzin, a nawet wyzwoleńców i niewolników, gdzie się znajdowały właśnie owe podziemne sklepienia z rzędami nisz, czyli zagłębień, do pomieszczenia urn z popiołami zmarłych, ci zaś, którzy nie posiadali do tego odpowiednich środków, mogli zakupywać sobie za życia miejsca w podobnych podziemiach publicznych.

Długie rzędy nisz oczekujących na urny, lub już niemi zapełnionych, przedstawiały niejaki podobieństwo z gołębnikami i ztąd też, od wyrazu: columba (gołąb) nazywały się u Rzymian columbariami. Jeden z podobnych grobowców odkopany roku 1726-go przedstawia rycina nasza. Można go dotąd oglądać na drodze Appijskiej, gdzie według świadectwa poważnych dziejopisarzy, miał służyć za miejsce ostatniego odpoczynku, dla wyzwoleńców cesarzowej Liwii, małżonki Oktawiana Augusta. Widzimy tu orszak pogrzebowy zstępujący w głąb podziemia, z płaczącą wdową, która postępując na czele, niesie urnę z popiołami ukochanego małżonka.

Z I M A.

Mróz w okowach ziemię trzyma,
Dołem śniegi, górą chmury.
Ach! ta zima, ach! ta zima,
To prawdziwa śmierć natury.
Gdzież ta ziemi postać cudna,
W słonka złocie i szkarłacie?
Do poznania teraz trudna,
W jednostajnej widma szacie.
Ha! cóż począć? toć jak wiosna,
Zima idąc z woli Boga;
Nie jest znów tak bezlitosna
I tak całkiem martwa, sroga.
Niszczy kwiaty, warzy trawki,
Lecz wraz z mroźnych dni zawieją,
Wabi młodych na ślizgawki,
Których szybkie ruchy grzeją.
Ma też urok pieśni własnej,
Co choć prostą treść zawiera,
Przy promieniu gwiazdki jasnej,
Bramy niebios wręcz otwiera.
Gwiazdki, co przy Zbawcy żłobie
Świat nasz wiarą weń ożywia,
I corocznie w jednej dobie,
Serc tysiące uszczęśliwia.
Więc choć śniegu ściel obficie,
Kryje ziemię z wierzchniej strony,
Przecież w głębi kipi życie
I kiełkują przyszłe plony.
A gdy ciepło i pogoda
Znów uśmiechnie się radośnie,
Siłą wspomnień, zima doda,
Blasku, młodej, bujnej wiosnie.

E. L.

O sztucznem zimnie i o sztucznym lodzie.

skreślił

ST. KRAMSZTYK.

(Dokończenie).

Wniesiono śnieg do pokoju; zaczyna się szybko topić i posiada wtedy temperaturę zera. Zmieszajmy go teraz z solą tak, aby na trzy części śniegu przypadała jedna część soli. Część tej mieszaniny szybko się stopi, ale w pozostałej termometr okaże dziesięć stopni zimna, a nawet więcej jeszcze. Widzimy więc, jak w ten sposób temperatura znacznie się obniża.

Dla lepszego utrzymania lodu w lodowniach pokojowych posypuje go się solą. Zdaje się pozornie, że tym sposobem zrządzamy sobie szkodę, lód bowiem szybko zaczyna się topić. Pamiętajmy wszakże, że pozostała część lodu oziębi się ztąd znacznie i utrzymywa się będzie bez zmiany dosyć długo, zanim od ciepła pokoju tak się ogrzeje, że znów zacznie topnieć.

Taka mieszanina soli ze śniegiem lub z lodem nazywa się „mieszaniną oziębiającą”. Jeszcze silniej oziębiającą mieszaninę otrzymuje się z salmiaku, saletry i lodu. Jeżeli miseczkę metalową, lub szklankę, napelnioną mieszaniną oziębiającą, pozostawimy w ciepłym pokoju, pokryje się ona szybko grubą warstwą szronu i przymarznie do stołu. W pokoju bowiem unosi się para wodna, która w zetknięciu z zimnem naczyniem oziębia się i skrapla na wodę, tworząc najpierw rosę, która z kolei marznie i na zewnętrznej ścianie naczynia gruby pokład lodu osadza. Jeżeli więc cukiernik przy wyrobie lodów ochłodzić pragnie przygotowane do tego słodycze, otoczyć je może podobną mieszaniną oziębiającą, obecnie jednak korzystać może ze sposobów innych, prędzej jeszcze i skuteczniej działających, które teraz poznamy.

Wróćmy do naczynia, w którym wodę ogrzewaliśmy. Jeżeli go od ognia nie usuniemy, woda zacznie się gotować, a wtedy termometr w niej zanurzony wskazuje temperaturę 100° i stan ten zachowuje przez cały czas wrzenia wody, zgoła się już dalej nie podnosząc. Woda pozostaje wciąż przy ogniu, zabiera ciepło, a jednak wyżej się już nie ogrzewa, termometr stale okazuje sto stopni.

Ale teraz już nas to nie dziwi, pojmujemy bowiem, że zachodzi tu toż samo, co przy topnieniu. Aby się ciec zamieniła w parę, należy cząstki jej rozrzucić, należy przezwyciężyć i tę słabą spójność, jaka jeszcze w cieczy istnieje. Do tego wszakże trzeba pracy, a pracę tę wykonywa ciepło. Ciepło więc nie może już teraz sprowadzać dalszego ogrzewania się cieczy i zużywa się na pracę. Dla tego, chociaż temperatura płomienia wynosi 500° i więcej, woda gotująca się w naczyniu naszym nie może ogrzać się wyżej nad sto stopni.

Jeszcze raz zagotujmy wodę, ale tym razem rozpoczniemy przy ogniu ogrzewać wodę tylko co oddzieloną od lodu topniejącego, mającą zatem temperaturę zera. Termometr możemy teraz odłożyć, ale ratomiast bierzmy w rękę zegarek i uważamy, ile minut należy czekać, dopóki się woda nie zagotuje, a następnie znów obserwujemy, ile minut upłynie, aż się wszystka woda wygotuje, czyli zupełnie zamieni się w parę. Kto będzie miał dosyć cierpliwości, by do tej chwili dotrwał, przekona się, że na wygotowanie wody trzeba pięć razy przeszło dłużej czekać, aniżeli na jej zagotowanie. Woda znajduje się ciągle przy tymże samym ogniu, ciągle zawiera jednakową ilość ciepła. Wnosimy więc ztąd, że woda do zamienienia się w parę potrzebuje pięć razy przeszło więcej ciepła, aniżeli do ogrzania się o sto stopni.

Woda wszakże zamienia się w parę nietylko przez gotowanie czyli wrzenie; podłoga przecież mokra albo wilgotna bielizna schną i w niskiej temperaturze. Woda więc nawet zimna ulatnia się, paruje; ale wodzie ulatniającej się nie do-

starczamy ciepła, zabierać je tedy musi ze swego otoczenia. Podobnie tedy jak topienie lodu; tak też i ulatnianie wody sprowadza dokoła ochłodzenie.

Kulkę termometru owińmy watą lub muślinem i zwiłgoćmy ją wodą, a termometr zaraz się obniży, ulatniająca się bowiem woda zabiera mu ciepło. Obniżenie to będzie znaczniejsze, jeżeli termometr w jedną i drugą stronę szybko kołysać będziemy, powstaje bowiem wtedy przewiew powietrza, unoszący cząsteczki pary. Wiatr więc w ogóle przyspiesza parowanie, ziemia po deszczu prędzej schnie, gdy wiatr dmie; dla przedszego ostudzenia dmuchamy na ciała gorące.

Są wszakże ciecze łatwiej się od wody ulatniająca, jak alkohol, albo eter, który łatwo w aptece nabyć można. Jeżeli kulkę termometru w podobny sposób zwiłżymy eterem, termometr znacznie opadnie, o dziesięć stopni i więcej nawet.

Pojmujemy teraz, dla czego zwilgocenie ręki ochłodzi ją; dla czego po wyjściu z kąpeli, nawet ciepłej, doznajemy uczucia zimna; dla czego deszcz ochładza powietrze, dla czego w czasie skwaru ulice skrapiamy wodą.

Aby w karafce wodę utrzymać chłodną, można ją otoczyć ręcznikami zwilgoconym. W Hiszpanii, gdzie silne panują upały, nie przechowują wody w naczyniach szklanych, ale w dzbanach z gliny niepolewanej, zatem dziurkowatych. Przez dziurki woda przesiąka w postaci drobnych kropelek, które, ulatniając się, zabierają wciąż ciepło wodzie w naczyniu pozostającej i nie pozwalają jej się rozgrzewać.

W Indyach Wschodnich rzeki nigdy się lodem nie pokrywają, dla otrzymania więc lodu ustawiają tam płytkie naczynia z wodą w miejscach otwartych. W czasie nocy pogodnych woda ulatnia się szybko, zwłaszcza przy wietrze, i tyle zabiera ciepła wodzie pozostającej, że ta krzepnie i ścina się w lód.

Otóż i do wyrobu lodów nie używa się już teraz mieszanin oziębiających, skuteczniej bowiem działają szybko ulatniające się ciecze, jeżeli zwłaszcza ulatnianie to przyspieszamy przez usunięcie wszelkich przeszkód, a przedewszystkiem samejże pary, która, gromadząc się ponad cieczą, dalszemu jej ulatnianiu zawadza. Urządzono więc do wyrobu lodów odpowiednie maszyny, które utrzymują zimno przez parowanie eteru, a istnieją nawet wielkie fabryki sztucznego lodu. Woda w naczyniach otoczona jest tam ulatniająca się eterem, a potężne pompy usuwają wciąż rozwijającą się parę eteru, by dalszego jego ulatniania nie tamowała; woda w ten sposób ziębiona szybko stygnie i przechodzi w bryły lodowe. Maszyny podobne służą zresztą nietylko do fabrykacji lodu, ale i do wytrwarzania jedynie zimna, czyli raczej chłodzenia powietrza, w piwnicach lub na okrętach, przewożących do Europy z Ameryki i Australii w stanie zamrożonym mięso i ryby.

Zamiast eteru korzystniejszym jest jeszcze amoniak płynny, jestto bowiem ciecz znacznie jeszcze lotniejsza, szybciej zatem znaczne oziębienie sprowadza. Gdyby wszakże ciecz ta w zbyt znacznej zużywała się ilości, kosztowałoby to zbyt drogo; dla tego też uchodzącą parę chwytają pompy zgęszczające i znów na ciecz zamieniają. Przy takim więc urządzeniu ilość potrzebnego amoniaku jest dosyć ograniczoną, pompy porywają jej parę i znów jej stan ciekły wracają. Do poruszania wszakże pomp tak potężnych służą maszyny parowe, które węglem opalać potrzeba. Ostatecznie zatem lód wyrabia się działaniem ognia. Do sprowadzenia bowiem zimna pracy potrzeba, a pracę tę znów ciepło wykonywa.

LOSY ADASIA.

przez

Zofię Kowerską.

(Dalszy ciąg).

— Damy jej kartofli! — zawołała Jadzia — Cały koszyk wysypaliśmy do popiołu i pewno ich dużo zostanie. Damy jej kartofli dobrze osolonych bo ona za solą przepada.

Po spożyciu kartofli i kawy z ciastkami dzieci otrzymały pozwolenie zbierania orzechów. Pan Siewroński wszakże nie zgodził się na to by Adaś się od niego oddalał. Sam poszedł z nim i pomagał mu nawet, zbierać orzechy, ale go na krok nie opuszczał.

— Bo ty nie jesteś taki chłopiec, któryby zasługiwał na zaufanie — mówił — pobiegiesz gdzie w las i zapomnisz o wszystkim: o ubiegającym czasie, o porze powrotu do domu, o tem że dziś jeszcze masz się do jutrzejszych lekcji przygotować. Mój poprzedni uczeń Sławcio Znarowicz mógł iść gdzie chciał. Wiedziałem, że wróci na oznaczoną minutę. Z tego chłopca będzie człowiek.

— I ze mnie będzie człowiek! — rzekł Adaś.

— Będzie, jeżeli się nauczysz co znaczy wyraz obowiązek.

Inne dzieci z panną Zawrzecką na czele pobiegły za Marcinem, który znał las, wiedział gdzie rośnie leszczyna i żaden orzech przed jego wzrokiem się nie ukrył. Toż to było radości i uciechy gdy Marcin w środku wielkiego krzaku leszczyny stanawszy nagiął naraz kilka gałęzi, a dzieci zbierały orzechy na wyścigi. Najgorsze jednak było to, że czas nie stał na miejscu, a panna Zawrzecka i pan Siewroński mieli tak naregulowane zegarki, że szły jednakowo co do minuty i zbliżała się godzina powrotu. Marcin też niepokoił się o konie i opuścił dzieci, którym z nim razem ubyła połowa przyjemności.

W kilka dni później Adaś po dobrem odbyciu lekcji, które mu w dzienniczku nauk przyniosły same piątki, dostał od rodziców pozwolenie pojechania na Myni na pocztę po listy i gazety w towarzystwie chłopca stajennego. Była to wycieczka którą Adaś bardzo lubił; w miasteczku w którym był urząd pocztowy było czasem coś ciekawego do zobaczenia, spotykało się czasem któregoś z sąsiadów, który z Adasiem rozmawiał jak z dorosłym człowiekiem, czasem widział się piękne konie prowadzone na jarmark, to znowu ustawioną budę w której pokazywano jakieś sztuki. Nawet rozmowa dwóch pijaków podsłuchana w części przy umyślnem pozwoleniu Myni na stępa (który to chód bardzo lubił), zajmowało Adasia, nawet widok sklepików z mięsiwem i garnków poustawianych na rynku, nie był mu obojętnym. Miał umysł wrażliwy bardzo i lada co go interesowało. Raz w miasteczku został dłużej i spóźnił się na lekcye dla tego, że obserwował dwie kozy, które sobie wypowiedziały wojnę i biły się rogami. Jasiiek, chłopiec stajenny, który towarzyszył zwykle Adasiowi, musiał mu kilkakrotnie przypominać, że czas ubiegał a roboty w stajni było niemało. Adaś ciągle odpowiadał:

— Będzie jeszcze czas!

— A lekcye panicz umie?

— Trochę umiem, a reszty jakoś się tam douczę.

— Kiedyż się panicz douczy?

— Jakoś tam znajdę chwilę.

— To paniczowi się udaje, bo ja jak stracę czas na co innego, to moja robota w stajni sama się nie robi, a jak sobie powiem: *jakoś tam znajdę czas*, to mi się zawsze za uszy od Marcina dostanie.

Marcin był widocznie dobrym wychowawcą i Jasiiek bał go się nie na żarty, bo nakoniec uprosił Adasia, by już walkę

kóz opuścili i by coprędzej wrócili do domu. Uszy Jaśka wyszły tym razem cało, ale Adaś potok łez wylał nim się narzeczcie zgodził z myślą, że lekcję odrobić trzeba choć jej nauka długo poza godzinę przepisana się przeciągnęła.

Ale to były już dalekie czasy. Już i Adaś zapomniał łez swoich i pan Siewroński tak był z niego przez ostatnich dni kilka zadowolony, że miał nadzieję, iż Adaś nakoniec swego wiecznego „jakoś to będzie” i „znajdziesz się jakoś czas” zapomni na dobre.

Przyjechał tedy do miasteczka Adaś na Myni, która pod wierzchem chodzić lubiła i bywała zawsze wesola gdy ją które z dzieci dosiadało, zaś Jasiek na „Figlu”. Figiel był to koń używany na posyłki, wierzchowiec, którego żaden dobry jeździec dosiadać nie chciał. Nikt nie wiedział dla czego

przewieszał sobie przez ramię i plecy. Adasiowi się zdawało, gdy wsiadał napowrót na Mynię, że spełnił jakiś akt ważny, który nie lada komu mógł być powierzonym.

— Jaśku — rzekł tego dnia Adaś, oddając torbę chłopcu — zatrzymamy się jeszcze przed sklepem Krakowskiej. Kupiny papierosów dla pana Siewrońskiego.

Zatrzymali się w istocie. Na próg wyszła niemłoda kupcowa, która poczęła zapraszać Adasia by wszedł na chwilę do sklepu.

— To będzie wielkie szczęście dla mnie — mówiła — gdy syn pana Rodzickiego zrobi mi tę łaskę i wejdzie do mojego sklepu. Już takiego sprawiedliwego pana to na całym świecie niema! Jak patrzę na panicza, to mi się zdaje, że na pana Rodzickiego patrzę.



Ma d r y t.

nazywał się „Figiel”. Kupiono go już z tem nazwiskiem, którego bynajmniej nie usprawiedliwiało. Miewał czasem narowy, które jego pierwszemu panu widocznie figlami nazywać się podobało. Był obraźliwy, nieżyczliwy, nie lubił towarzyszy i towarzysze go nie lubili. Mynia nim wprost pogardzała.

Gdy się znaleźli przed urzędem pocztowym, Adaś wziął torbę pocztową z rąk Jaśka i wszedł do pokoju ekspedycyjnego, gdzie za stołem siedział urzędnik. Adaś lubił pocztę odbierać. Urzędnik prosił go zawsze siedzieć, a z za przypierzenia gdzie mieszkała jego rodzina wysuwał się zwykle chłopiec, będący mniej więcej w wieku Adasia i przypatrywał mu się wytrwale. Adaś udawał, że go wcale nie spostrzegła, bo mu dogadzała rola człowieka dorosłego, spełniającego ważne interesa. Wychodził poważnym krokiem z pocztowego pokoju, niosąc w ręku torbę, którą potem Jasiek

Adasiowi znowu podobała się rola uszczęśliwiającego kupcową Krakowską. Wszedł do sklepu, kupił papierosy dla pana Siewrońskiego, obsypywany komplementami Krakowskiej.

— A panicz nie pali papierosów?

Fałszywa miłość własna ukłuła Adasia. Odpowiedział niedbale:

— Palę czasem.

— Niech panicz tych papierosów spróbuje... to tylko na próbę... mnie też nic nie kosztują, bo to na próby przysłane... niech panicz weźmie z paną bez pieniędzy... tylko na próbę.

Krakowska gwałtem wpychała Adasiowi dwa papierosy do kieszeni bluzy. Adaś uważał za stosowne powiedzieć:

— Spróbuję, ale nie wiem czy mi się podoba.

— Ma się rozumieć — mówiła Krakowska — panicz jest wymyślny... syn takiego pana... jużci panicz nie będzie palił byle jakiego tytoniu... to się wie... to też ja dałam coś takiego, co jest tylko dla prawdziwych panów .. może panicz zaraz zapali...

Potarła zapalke o pudełko a Adasia jakoś zły duch oplątał, a raczej oplątała go niemądra miłość własna. Wziął do ust papierosa a Krakowska podała mu zapaloną zapalke.

Gdy Adaś wyszedł z papierosem w ustach, Jasiiek ozwał się:

— To nie jest dobry gatunek tytoniu — odparł Adaś tonem wyższości — Krakowska się na tem nie zna.

— Ee... Krakowska jak Krakowska.. Ale to tak człowiekowi tylko pierwszy raz. Papieros ma taki *impent*, że się od niego *mgło* robi, ale to przejdzie. Panicz się zaciąga?

— Naturalnie. Któżby inaczej palił?

— I umie panicz puścić dym nosem?

— Pfi! wielka mi rzecz!

— No, niech panicz pokaże jak panicz umie.

Adaś spróbował, ale się zakaszłał, łzy stanęły mu w oczach a nudności porwały go takie, iż zbladł śmiertelnie aż się Jasiiek przestraszył.

— I mniehy panicz dał papieroska.

— To ty palisz?



Franciszek rzucił się copędzej na ziemię...

— A, dorwę się tam czasem do jakiego tytoniu...

— Na, masz!

Adaś wyciągnął drugiego papierosa i z miną dobroczyńcy dał go Jaśkowi.

Wyjechali tedy z miasteczka dwaj młodzieńcy z papierosami w ustach. Obydwom się zdawało, że urosli jak na łąkach. Dzieci zwykle nie palą papierosów i przecie panie to już przyzwyczajenie dorosłych. Do miasteczka dążyli rozmaici ludzie a Adaś i Jasiiek jechali stępa, żeby się im wszyscy dobrze przypatrzeć mogli. Ale Adasiowi jakoś rocznie ekliwo się robiło. Krzywił się, spluwał, nie chciał jednak rzucić niedopalonego papierosa, gdyż byłoby to wyznanie, że mu dym tytoniu nie smakuje. Ha, trudna rada, rzęba było znieść coś dla utrzymania własnego honoru. Jasiiek wszakże dostrzegł, że Adaś był nie swój, rzekł mu tedy:

— Jakoś paniczowi to palenie się nie wiedzie...

— Niech panicz rzuci papierosa! — zawołał.

— To jakiś fałszowany tytoń — rzekł Adaś głosem umierającego.

Po chwili zrobiło mu się ciemno przed oczami.

— Jaśku! — zawołał — ja umieram!

Jasiiek przeraził się na dobre. Zeskoczył z konia, podtrzymał chwiejącego się Adasia.

— Wody! — wybełkotał Adaś.

— Zkądże ja wody wezmę? — zawołał Jasiiek prawie tak błądy jak Adaś. — Chyba pojedziemy do Leśniczówki.

Prowadząc konie, a niosąc prawie Adasia, którego zdjął z siodła, podążył Jasiiek ku zaroślom, leżącym w małej dolinie w której znajdowało się źródło. Zarośla te stykały się z lasem a od drogi niewiele oddalone były.

Doprowadziwszy do nich Adasia, Jasiiek położył go na murawie, dał mu się napić wody z brudnego kapelusza, któ...

rym jej zaczerpnął i zmoczył głowę chłopca. Adaś po chwili zaczął przychodzić do siebie. Chciał jednak odpocząć trochę nad źródłem, bo był powien, że nudności powrócą, gdy siądzie znowu na konia.

— To wszystko *impent* od papierosa — powtarzał Jasiiek.

W tej chwili z lasu wjechało konno dwóch ludzi, ubranych nie w chłopskie kapoty, ale w wyszarżane surduty. Wyglądali na mieszczan z małego miasteczka. Zajęli się odrazu bardzo serdecznie Adasiem, wypyтали z kąd się tu wziął, przyznali, że to z pewnością był zły tytuł zbytecznie siarkowany, który tak Adasiowi zaszkodził, poradzili wypicie kilku kropel wódki, którą mieli z sobą. Przy tej sposobności poczęstowali też Jaśka, który wypił cały kieliszek, a gdy Adaś oświadczył, że mu było znacznie lepiej, usłużni ludzie prosili by wypił jeszcze kilka kropel wódki, bo na siodle mogło mu się znowu zrobić gorzej. Nie chcieli by się Jasiiek czuł pokrzywdzonym i jego więc poczęstowali znowu całym kieliszkiem, który Jasiiek wychylił sumiennie.

Teraz już byli wszyscy z sobą za pan brat. Adaś był wdzięczny pocziwym ludziom za ich leki, opowiadał im o wieku Myni i Figła, oni zaś utrzymywali, że się doskonale znają na koniach, i że za taką Mynię dobrzeby zapłacili. Niby to się targowali z Adasiem, który udawał, że miałby prawo sprzedać Mynię gdyby chciał. Nieznajomi opowiadali, że jechali właśnie z jarmarku w Łęczynie, gdzie kilka koni sprzedali a kupili te dwa na których teraz jechali. Z drogi zбочyli by w chłodzie leśnym dać odpoczynek koniom i napoić ich w źródle.

Aż tu jeden z nich przypomniał sobie nagle rzecz bardzo ciekawą.

— A wie też panicz — zawołał — że w lesie są cyganie i jedna z cyganiek tak wróży z ręki, że człowiek aż pojąc nie może skąd to ona wie. Przeszłość tak samo zna jak przyszłość. Mnie wszystko powiedziała co się ze mną działo od najmłodszego dziecka; powiedziała mi wszystkie moje myśli. To dla każdego dobrze tak wiedzieć naprzód co go czeka w przyszłości. Mówi też ta cyganka czego każdy strzedz się powinien, czego unikać a za czem gonić. Ho, ho, żebym ja był wcześniej taką cygankę spotkał! Co jabym był biednikiem a nawet niebezpieczeństw! Żebym był taką cygankę spotkał, gdym był w wieku panicza! Ja radzę paniczowi pozwolić jej sobie wróżyć. To trwa jedną chwilę, a potem cyganie Bóg wie gdzie powędrują i druga taka sposobność nie zdarzy się więcej. Ona mi powiedziała jakie imiona mają wszystkie moje dzieci, co w tej chwili robi moja żona...

— Kiedy ja nie mam pieniędzy — rzekł Adaś — prze-cie ona darmo nie wróży!

— O, ta wróżka wszystkiego kosztuje 20 groszy!

— Ale ja i 20-stu groszy nie mam!

— Eh, co tam, jakoś się zrobi, a kiedy panicz ma taką dobrą sposobność...

— Trzeba wracać do domu — rzekł Jasiiek.

— Ona by i tobie wróżyła — ozwał się nieznajomy do Jaśka — ona nawet uczy jak zostać bogatym... co robić żeby się konie wiodły...

— Ja nawet mam 20 groszy — przerwał Jasiiek, które-mu oczy zaświeciły.

(d. c. n.)

MADRYT.

Madryt, stolica Hiszpanii, leżąca nad rzeką Manzanaresem, jest nader pięknem i wspaniałem miastem. Okolice wszakże Madrytu dla niezdrowego powietrza i braku wody, są mniej malownicze i zaludnione od innych stron Hiszpanii.

Niegdyś, w óym jeszcze wieku ery chrześcijańskiej Madryt był małym arabskim miasteczkiem, zwanem Madryta. W r. 930 został odebrany przez Hiszpanów Arabów i od owego czasu zaczął się stopniowo zabudowywać i rozrastać, chociaż dopiero Filip II-gi uczynił go stolicą całego kraju.

Obecnie ma przeszło 300,000 mieszkańców, posiada sławny pałac królewski zwany Buen-Retiro, bogate muzeum koronne i jedną z najznakomitszych galeryi obrazów. Ulicy są prawie wszystkie szerokie i regularnie zabudowane, piękniejsza z nich zowie się *Calle de Alcalá* i ze swemi przecznicami, przerywna całe miasto na dwie równe połowy. Widać tu rozległe i ozdobne place, z których najwięcej zasługują na uwagę: *Plaza mayor*, *Puerta del Sol*, *Plaza de Oriente* z konnym pomnikiem Filipa IV-go i Plac Kortezów z pomnikiem poety Cervantesa.

Lew świętego Marka

(Z ANGIELSKIEGO E. A. Henty)

przekład K. P.

(Ciąg dalszy).

— Mój kochany, nie szło mi wcale o to abyś zarobił parę dukata, choć się bardzo cieszę żeś go dostał; mnie chodziło głównie o przygodę i mam nadzieję, że się nie zawiodę. Bo przecież człowiek zamożny musi mieć cel bardzo ważny i tajemniczy, ażeby późno w noc jechał na pustą wysepkę, której nie czeka go żadna zabawa z przyjaciółmi. Ja przypuszczam, że to musi chyba być jakaś ważna sprawa, o której spostrzegł kilka innych łodzi płynących w tym samym kierunku. W każdym razie postaram się dowiedzieć parę rzeczy.

— Niech pan lepiej da pokój — rzekł Giuseppe — jeżeli to ma być sprzysiężenie, to nie mieszajmy do niego. Z Radą dziesięciu niebezpiecznie zadzierać. To razy spotykano wywrócone gondole, a o wiosłarzach w nich nie słyszano. Jak się pan raz dostanie do lochów św. Marka, to nikt panu nie uwierzy, żeśmy tylko przez ciekawość wzięli udział w tej sprawie; ja myślę, że najlepiej zrobimy wracając spokojnie do domu, a nasz podróżny niech sobie daje radę jak umie.

— Nie Guiseppo, ja chcę się czegoś dowiedzieć. To miśnica podobna bywa niebezpieczną, ale często i pożyteczną. Na nic się przytem nie narażamy; na wodzie potrafimy się utrzymać przed każdą gondolą, a w Wenecyi nikt nie posądzi kupca Hammonda, że on i podejrzany gondolier to ja i ta sama osoba.

— Zawsze mi jakoś nieswojo, a nuż spotkamy strażniczą?

— Bądź spokojny, za daleko jesteście od brzegu. Ty wiesz co? Ty zostań tutaj i bądź gotów w każdej chwili wyjść, a ja pójdę zobaczyć co robi mój nieznajomy.

Franciszek wyskoczył na ląd i cicho, powoli zaczął skradać do wioski zamieszkałej przez rybaków. Obserwował wszystkie chaty, ale w żadnej nie było światła. Wrócił do łodzi.

— Nie znalazłem Guiseppo.

— Tem lepiej, panie. To jest tego rodzaju zwierzę, że bezpieczniej dla myśliwego z nią się nie spotkać. Odmówiłem się ucieszyć, kiedy usłyszałem gwizd pana, i gdym spostrzegł wasz cień na niebie. Teraz możemy sobie załatwić nasz podróżny wróci.

Ale Franciszek nie miał ochoty do snu. Zawinął płaszcz, usiadł na ławce i począł rozmyślać, czy warto

stracić drugą jeszcze noc na odkrycie tej sprawy. Nie wątpił, że tu szło o jakiś spisek. W Wenecyi były zazwyczaj dwie partye, dbające zarówno o dobro Rzeczypospolitej, ale nienawidzące się pomiędzy sobą. Spotykano tu często ludzi przekupionych przez inne miasta włoskie, którzy intrygowali na korzyść tych, którzy im dawali pieniądze. Franciszek był Anglikiem, ale tyle lat przemieszkał w Wenecyi, że jej losy bardzo go obelodziły; tak więc poczucie obowiązku, jak i zamiłowania do przygód wpłynęło na niego i postanowił dociec o co właściwie chodziło spiskowcom w San Nicolo.

Giuseppe spał tymczasem, wyciągnięty na dnie łodzi; Franciszek obudził go dopiero wtedy, gdy usłyszał szelest zbliżających się kroków.

— Zawieźcie mnie na miejsce zkąd mnie wzięliście — rzekł nieznamy, rzucając się na pooduszki; chłopcy w milczeniu zagłębili wiosła w wodę i skierowali się ku miastu. W chwili gdy wjeżdżali do Wielkiego Kanału, wyleciała z pod mostu sześciowiosłowa gondola i rozkazujący głos zawołał:

— W imię Rzeczypospolitej stójcie! Coście za jedni?

— Naprzód! — krzyknął nieznamy — dziesięć dukatów jeżeli umkniecie!

Gdyby młodzi ludzie byli zwykłymi gondolierami, to nawet tak hojna obietnica nie skłoniłaby ich do nieposłuszeństwa władzy, ale Franciszek obawiał się ażeby go ta wyprawa nie pozbawiła na długie lata wolności, skinął więc na towarzysza i z całej siły zaczęli wiosłować. Ale choć płynęli szybko, ścigająca gondola zyskiwała ciągle na przestrzemi; Franciszek to spostrzegł, i korzystając ze zwinności swojej łodzi, zawrócił ją gwałtownie w pierwszy napotkany kanał. W ten sposób wyprzedził tamtą gondolę, która musiała zwalniać biegu na zawrotach, aby uniknąć przewrócenia. Franciszek wybierał najbardziej krętą drogę i wkrótce rządowa łódź straciła ich z oczu.

— Na Boga! — zawołał nieznamy — dzielnieście się spisali, zawstydziliście służalców doży. Ja nie mam powodów się ich obawiać, ale nie lubię, żeby się mieszało do moich spraw.

Po chwili dopłynęli do miejsca naznaczonego, i nieznamy podał Giuseppe'emu przyręczone pieniądze.

— Bądźcie tu we czwartek w pół do jedenastej.

— Proszę pana, czy my jednak nie narażamy się na wielkie niebezpieczeństwo — rzekł Giuseppe z wahaniem — bo to nie mała rzecz wpaść w ręce straży.

— Warto jednak trochę ryzykować, jeżeli się spodziewacie dobrej zapłaty — odparł nieznamy — zresztą przyszyliśmy razem możemy nie spotkać gondoli rządowej.

Do domu Giuseppe — zawołał Franciszek — jutro możemy się jeszcze naradzić. Nigdy w życiu nie miałeś równego zarobku, ja jestem zaciekawiony jak mi się to dawno nie zdarzyło, zdaje mi się, że powinniśmy być zadowoleni.

Przez następnych dni parę, Franciszek zastanawiał się poważnie, czy stawić się na schadzkę z nieznanym, czy nie? Nareszcie powiedział sobie, że pójdzie, i że niema właściwie żadnego niebezpieczeństwa, bo nawet w razie schwymania mógłby się bronić tem, że nie należał do spisku.

Giuseppe nie stawiał żadnego oporu, kiedy we czwartek Franciszek powiedział mu, że ma zamiar płynąć do San Nicolo; nadzieja drugich dziesięciu dukatów zbytnio go nęciła. Jeszcze jedna taka gratka, a mógłby kupić gondolę, ożenić się i założyć własne gospodarstwo.

Tymczasem Matteo Giustiniani powiedział Franciszkowi rzecz, która go bardzo zajęła.

— Czy pamięta z moją kuzynką, Maryę Polani, którąśmy spotkali na Wielkim Kanał?

— Pamiętam doskonale. Cóż się stało?

— Wystaw sobie, że Ruggiero Mocenigo, którego ci wskazywał na placu św. Marka, ten co przez dwa lata był skazany na wygnanie — prosił o jej rękę.

— Ale mu odmówiono? nieprawdaż! — zawołał Franciszek z oburzeniem. — Niepodobna przecież oddawać jej takiemu człowiekowi.

— Signor Polani był tegoż samego zdania i odpowiedział, że wołałby ją widzieć w grobie niż żoną Ruggiera, ale ten lotr przysiągł, że się zemści.

— Nie należy się obawiać takich pogroźek — zauważył Franciszek.

— Polani zbyt lekceważy przeciwnika, bo Ruggiero ma niezmiernie potężne stosunki, i gotów jest nająć zbira, który w nocy napadnie na mego krewnego i położy go trupem. A jakże tu dowieść, że nie kto inny tylko Ruggiero był przyczyną tego morderstwa.

— Nie pojmuję — rzekł oburzony Franciszek — jak wy możecie znieść aby podobne zabójstwa uchodziły bezkarnie. Na całym świecie są napady, wojny, ale wtedy napaśtowany może się bronić, może zgnieść przeciwnika, a tu się wszystko odbywa z zasadzki.

— I w wojnach używają podstępów. Ileż to razy rabowano zamki, palono miasta, wyrzynano ludność. Polani wie co mu grozi, będzie się miał na ostrożności, a gdy mu się Ruggiero zanadto uprzykrzy, to i on naszle zbirów na niego. Widzisz, jest rada na wszystko.

Franciszek uczuł, że jego towarzysz słusznie potępia wojny, gdzie niewinni cierpią za winnych, ale on sam miał niepołamowany wstręt do zasadzek, do podstępów, do tajemnych morderstw. Uważał, że wojna, choćby najstraszniejsza jest zawsze szlachetniejszą od nocnych napadów.

We czwartek gondola czekała na umówionem miejscu. Nasz bohater przypuszczając, że nieznamy będzie się ich wypytywał o miejsce zamieszkania, o rodzinę, chcąc wiedzieć z kim ma do czynienia, uprzedził Giuseppe'a, aby był ostrożnym.

Sprytny chłopak nie potrzebował jednak przestrogi i na oczekaniu wymyślił historję, którą miał opowiedzieć podróżnemu.

— Widzę, żeście punktualni — rzekł tenże, zbliżając się do łodzi. — Jest to rzadka cnota między przewoźnikami.

Franciszek wiosłował na przodzie i był odwrócony plecami do ławki naturalnie; nie z nim, ale ze stojącym w pobliżu Giuseppe'em rozmawiał nieznamy.

— Nie widzę waszych twarzy — rzekł na wstępie — ale z postaci sądząc, wnoszę, żeście obaj młodzi?

— Ja mam dwadzieścia dwa lata, a mój brat dziewiętnaście.

— Jak się nazywacie?

— Giovanni i Beppo Marani.

— Czy ta łódź do was należy?

— Tak panie, ojciec nasz umarł trzy lata temu i zostawił nam tę gondolę.

— Gdzie wy zwykle stajecie?

— To zależy panie; jak się nam nie szczęści w jednym miejscu, idziemy w drugie.

— A gdzie mieszkacie?

— Nie mamy domu panie. W nocy zawijamy się w płaszcze i kładziemy na dno łodzi, to nas nic nie kosztuje, a równie nam jest wygodnie jak w jakiej izbie na słonie.

— Musicie w takim razie robić oszczędności.

— Jużesmy uzbierali trochę pieniędzy, bo jak się kiedyś ożenimy, będziemy potrzebowali stałych mieszkań.

— Czy nie chcielibyście pójść do mnie na służbę?

— Dziękujemy panu, ale wolimy zależeć tylko od siebie. Czasem napada nas lenistwo i wtedy po kilka tygodni nic nie robimy, a na służbie nie można sobie na to pozwolić.

— Macie bardzo szybką łódź, lecieliśmy jak wiatr, kiedy nas gonila galera rządowa.

— Łódź mamy taką jak inne, ale każdy wioslarz nabiera poczwórnej zręczności, gdy z jednej strony widzi dziesięć dukatów, a z drugiej więzienie.

— W takim razie nigdy nie będę mógł was znaleźć podczas dnia?

— Nie panie, gdyż mamy stałych podróżnych, którym nie chcielibyśmy zrobić zawodu, ale w nocy zawsze będziemy na wasze usługi.

— Jakże się z wami porozumieć, kiedy nie wiem gdzie was szukać?

Giuseppe pomyślał chwilę

— Niech wasza wielmożność napisze cyframi na podstawie kolumny pałacowej, ostatek od Piazzetty o której gozdzie rozkaże nam przyjechać, a niezawodnie będziemy.

— Czy umiesz czytać i pisać?

— Nie panie, ale znam cyfry. Wszyscy przewoźnicy umieją to samo, bo jakżebyśmy inaczej byli punktualni wobec naszych podróżnych.

— To dobrze — rzekł nieznajomy — bądźcie jednak codziennie na placu, abyście wiedzieli czy was potrzebuje czy nie.

Na tem się skończyła rozmowa. Podróżny zapadł w milczenie, którego nie przerwał aż do chwili gdy łódź przybiła do wysepki.

Wysiadając rzekł:

— Powrócę w tym samym czasie, co zeszłego wieczoru, i zniknę w ciemności.

Franciszek poczekał chwilę, i pospieszył za nieznajomym. Wiosłując zdejmował zwykle obuwie, żeby się nie różnić od wszystkich przewoźników. Teraz więc szedł bez szelestu, trzymając się w pewnym oddaleniu, gdyż postać nieznajomego rysowała się bardzo wyraźnie na tle gwiazdzistego nieba.

Po chwili Franciszek spostrzegł inną łódź, która ostrożnie przybijała do brzegu. Rzucił się coby prędzej na ziemię i ukrył za załomem gruntu. Z łodzi wysiedli dwaj ludzie i poszli w tym samym kierunku co pierwszy, Franciszek pośpieszył za nimi.

W kwadrans później, trzy te ciemne postacie zatrzymały się przed opuszczoną chatą, jedna z nich zastukała do drzwi, które się zaraz za nimi zamknęły. Chata była do połowy zasypana piaskiem, nie miała płotu ani ogrodu a przez okiennice zamknięte żadne światło nie dostawało się na zewnątrz. Franciszek obszedł dom wokoło, potem stanął niedaleko drzwi i czekał.

Znowu usłyszał kroki, do drzwi trzykrotnie zastukano, i głos z izby zapytał: „Kto tam? „Ktoś w potrzebie”. „W czym ci się krzywdą dzieje?” „We wszystkim”. Wtedy zgrzytnęły zasuwki i drzwi się znowu otworzyły i zamknęły. To się powtórzyło cztery razy. Franciszek sądząc, że już nikt więcej nie nadejdzie, położył się na piasku i sztyłem otworzył otwór w ścianie; drzewo było stare i spróchniałe, więc mu to z łatwością przyszło. Przyłożył oko i spostrzegł, że w około stołu siedziało dwunastu ludzi.

Znał czterech czy pięciu, z pomiędzy tych co byli zwróceni twarzą ku niemu. Wszyscy należeli do znakomitych rodzin. Dwóch zasiadało w Radzie Dziesięciu. Ten który siedział u wąskiego końca, coś mówił z wielkiem zajęciem, ale chociaż nasz bohater przykładał ucho do otworu, nie nie usłyszał, prócz niewyraźnego szmeru. Franciszek wstał ostrożnie, wyrównał piasek aby nie poznano, że leżał w tem miejscu, i poszedł na drugą stronę chaty, ażeby przez nowy otwór zobaczyć twarze reszty spiskowców.

(d. c. n.)

MINIATUROWE FAJERWERKI.

Cudownemi laboratorjami są komórki roślinne, w których krochmal, cukier, tłuszcze mieszczą się w różnych ilościach. Tłuszcz znajdujemy często w łupince owocu, a szczególnie jeszcze w ziarnach, gdzie go przezorna roślina ukryła jako zapasowe pożywienie dla przyszłego pokolenia.

Len, mak, orzech, migdał, dostarczają nam doskonałe oliwy do jedzenia, oświetlania lub też używanej w przemyśle.

Obecność oliwy w migdałach da się wykazać bardzo łatwo w sposób zabawny. Pod koniec obiadu np. gdy dano deser, można urządzać współbiesiadnikom oryginalne widowisko.

Z gruszki lub jabłka wykrawa się walcowaty klocek aby mógł naśladować kawałek stearynowej świecy, następnie wystrugać z migdała cienki wałeczek, z obu stron zaostrzyć jednym końcem zagłębić go w poprzednio przygotowany klocek, drugi zapalić. Tak zaimprovizowana świeca będzie się paliła chwil kilka płomieniem białym, bardzo jasnym wydzielając trochę dymu. Gdy się widzowie napatrzeli na zwykłemu zjawisku, można zakończyć je zjadając dla własnego efektu resztę świecy. Migdał można zastąpić także orzechem.

Oprócz tłuszczów, w różnych częściach wielu roślin znajdują się olejki pachnące czyli lotne, dające się łatwo odróżnić od poprzednich. Tłuszcze tworzą na papierze drobne brzydkie plamy, rozchodzące się prędko, nie znikając, natomiast ślady po olejku pachnącym, nikną prędko wskutek lotności tegoż. Olejki lotne stanowią ważną gałąź przemysłu krajów południowych. Płatki róży, heliotropu, fiołki, konwalii są napojone tym olejkiem. Rodzina roślin warzywnych, tak licznie u nas reprezentowana, zawdzięcza swój zapach, często przyjemny, tym olejkom zawartym we włoskach pokrywających łodygę i liście. Każdy z tych włosków kłuje się, nie zagiętym haczykiem jak u pokrzywy, lecz napojoną olejkami kuleczką, którą przez mikroskop widzieć można doskonale. Do rodziny tej należą: mięta, melisa, szalwica, macierzanka i tyle innych. Owoce także nie są pozbawione olejków pachnących. W pomarańczy np. odnajdziemy łatwo nie tylko za pomocą powonienia, ale innemi jeszcze sposobami.

Doświadczenie takie nie narazi nas na zbyt wiele kłopotu, nie jest bowiem wcale skomplikowane, wystarczy zapalić świeca. Ścisnijmy w palcach żółtą skórkę cytryny lub pomarańczy na kilka centymetrów od świecy, a wyskoczy z niej będą drobniutkie kropelki, które zapalając się z łatwością eksplodują, przedstawiając się jakby miniaturowe fajerwerki.

A. R.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Grobowce starożytnych Rzymian (z drzew.) — Zima, wiersz p. E. L. — O sztucznej zimnie i o sztucznej lodzie, skreślił S. K. — Losy Adasia p. Zofię Kowerską. — Madryt (z drzew.) — Lew świętego Marka (przekład K. P. z angielskiego G. A. — ty) (z drzew.) — Miniaturowe fajerwerki. — Dodatek: Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich, przełożyła M. B. (z drzew.) — Ziarenko, wiersz. — Pompa i studnia ogrodowa. — Łamigłówni. — Skrzyńka do listów. — Dodatek książkowy: Orla skała, wiersz miss K. Yonge przekład T. O.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доволено Ценаурою, Варшава 30 Декабря 1895 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska

WIECZORY RODZINNE

Mali Robinsonowie w skalach nadmorskich.

przełożyła M. B.

(Dalszy ciąg).

— A możecie matko Anielo, i dziewczynę do tego czasu zatrzymać przy sobie? — spytała karczmarka.

— Śpią już teraz oboje, zamknę drzwi, a jutro rano przyjdę do nich.

Wkrótce wszyscy się rozeszli, zostawiając dzieci na opiece Boskiej.

Melcia przerażona śmiertelnie, powróciła do pokoju i zaczęła rozmyślać siedząc przy śpiącym braciszku. Więc mają być rozdzieleni?... Chyba lepiej rzucić się do morza i w ten sposób połączyć się na taintym świecie z rodzicami! Ale na to Bóg nie pozwala, i morze takie straszne, niezgłębione, zimne!.. Ale co robić? Wszystko lepiej znieść można niż myśl, że Iwonek daleko od niej będzie nieszczęśliwy, a ona biedna służącą karczmarki!

Myślała i myślała, aż przypomniała sobie, że matka opowiadała jej często o siostrze swojej Genowefie, która służyła u jakiejś wielkiej pani w Paryżu.

— Ach, jakby was ciotka Genowefa kochała... jak swoje dzieci rodzone — mawiała ze łzami, przy każdym wspomnieniu kochanej, a dawno niewidzianej siostry.

Więc dlaczegoż oni nie mieliby uciec się pod opiekę tej nieznaney, ale kochającej ich ciotki? Jeżeli nie uciekną zaraz, to ich zatrzymają i nie puszczą, a jeżeli uciekną, to ich dogonią z łatwością. Wtem Melci przyszedł na myśl ukryć się w skale zamkniętej; tam ukryją się dobrze i nikt ich nie znajdzie, a po jakimś czasie, gdy wszyscy o nich zapomną, myśląc, że się gdzieś utopili lub zginęli, będą sobie mogli bezpiecznie ruszyć w drogę do Paryża, a tam ciocia Genowefa zaopiekuje się nimi jak matka.

Nie czekając dnia, jak tylko zaczęło świtać, Melcia obudziła Iwonka, włożyła mu najlepsze ubranie, sama ubrała się także w świąteczną sukienkę, następnie resztki wczorzy, chleb, trochę sera i słoniny włożyła do koszyka. Gdy już mieli wychodzić, Melcia przypomniała sobie o swoim skarbie.

Ojciec, gdy tylko dobrze sprzedał towar, miał zwyczaj dawać jej kilka groszy, które ona wrzucała do skarbonki. Matka nie pozwoliła, nawet wtedy gdy byli głodni, zabrać tych pieniędzy. Dzisiaj chwila była zanadto ważną, by się namyślać, otworzyła skarbonkę i z wielką radością znalazła w niej cztery franki, to majątek w posiadaniu Melci.

— No, chodźmy już! — zawołała na brata.

Otworzyła okno wychodzące na ogród, wysadziła najprzód Iwonka, który pomógł jej następnie wyjąć kilka żerdzi z ogrodu i wkrótce znaleźli się na wybrzeżu.

— Gdzie my idziemy? — zapytał Iwonek.

— Do mego pałacu.

Nie pytając więcej, Iwonek, który ślepo wierzył i we wszystkim słuchał siostry, postępował za nią w milczeniu.

Odpył morza się zaczął, silny powiew wiatru rzucił Melci kapelusz, dzieci śmiejąc się pobiegły za nim, ucieczka przemieniła się w zabawę.



Było jeszcze zupełnie ciemno, i Iwonek trochę przerażony, trzymał się mocno sukni Melci. Niósł buciuki związane z sobą, nóżki mu się ślizgały stąpając po pękach traw mokrych i lepkich, to też coraz częściej zapytywał:

— Czy już zaraz dojdziemy?

I pomimo swej wiary w siostrę, stanowczo odmówił, gdy trzeba było uklęknąć i czołgając, dostawać się do wnętrza skały. Usiadł mówiąc, że nie pójdzie dalej, Melcia tymczasem odrzuciła piasek zakrywający otwór.

— Morze nas zabierze — straszyla chłopczyka.

Ale on iść pierwszy nie chciał, więc Melcia na kolanach wsunęła się w wązki przesmyk otworu.

— Weź mnie za nogi! — zawołała.

W obawie by nie zostać samym, zrobił jak mu kałała, i z trudem wielkim dostali się oboje na drugą stronę.

Melcia powróciła najpierw po koszyk z zapasami i pomagając braciszкови dostać się na wysokie stopnie skały, weszła z nim razem do groty. Promienie księżyca przeciskały się przez otwór i oświecały zaczarowany pałac. Dziewczynka poczuła się tak szczęśliwą, że kazała braciszкови uklęknąć przy sobie i odmówili razem „Ojcie nasz” i „Zdrowaś Marya”. Czuli się tak zmęczeni, że wkrótce oboje zasnęli smaczno, położywszy się na piasku.

Dzień już był jasny, gdy się obudzili, wyjrżeli na zewnątrz. Morze rozciągało się ciche i spokojne, ludzie na wybrzeżu stojący nieruchomie wydali im się łupinkami z orzechów, rzuconymi na wielkie wód obszary. Z radości, że uszli szczęśliwie grożącemu im niebezpieczeństwa, wesoło i z apetytem zjadali śniadanie; w tak młodym wieku wszelka odmiana jest przyjemnością. Lecz gdy pomyśleli o stole, przy którym we czworo zasiadali do śniadania, smutek ich ogarnął na nowo. Zabrakło im ojca, później matki i pozostali sami na świecie, wypędzeni koniecznością z własnego domu, opuszczeni w tym wielkim pałacu, pięknym, to prawda, ale tak pustym, i nikogo naokoło, ktoby się nimi zajął, ktoby ich kochał i pieścił.

Melcia spostrzegła, że jej smutek udziela się braciszкови. Iwonek był już blizki płaczu, zaczął się napięrać by powracać do domu.

— Dlaczegośmy tutaj przyszli, ani łyżek nie mamy, ani nic innego.

Wtedy siostra opowiedziała mu zamiary karczmarki i krewngó, jak chcieli ich zabrać i rozdzielić...

— Melciu, nie opuszczę cię nigdy — zawołał wtedy chłopczyk — zostanmy tutaj, jesteś taka zgrabna, że wszystko potrafisz zrobić, obiad ugotujesz i będziemy go jedli, siedząc naprzeciw siebie... Ale najgorzej ze spaniem, piasek trochę jest twardy, a w nocy zimno nam było bez kołdry.

— Biedny malec! Czy potrafi wytrzymać wszystko na co tu będą narażeni? Ale chociażby mieli umrzeć, umrą przynajmniej razem... — myślała Melcia, nie tracąc wszakże odwagi, zaczęła czynić przegląd teraźniejszej siedziby... Ujrzała najpierw w pośrodku grotы sadzawkę, pełną czystej i słodkiej wody, wypływającej ze źródła w skale; przynajmniej pragnienie będą mieli czem ugasić. Duży bochenek chleba przydałby się bardzo, ale nie mieli siły przynieść go z sobą, ten, który wzięli, wystarczy im na dwa lub trzy dni, ale co później będzie?... Melcia przypomniała sobie, jak raz na kazaniu ksiądz proboszcz mówił, że Bóg o wszystkim pamięta, kwiatom nie daje uschnąć z pragnienia. ptaszki karmi. Iwonek i Melcia, nie byliż oni także biednymi ptaszętami, bez ojca i matki? Bóg ich nie opuści i ulituje się nad nimi. Pocieszona tą myślą, wzięła braciszka za rękę by zejść z nim razem.

— Chodź, obejdzimy nasz ogród na dole, zobaczymy czy tam znaleźć coś będzie można?

— Czy ty żartujesz siostrzyczko mówiąc: „nasz ogród”? Albo tam rosną kartofle, marchew, lub jakie drzewa owocowe? jak rosły tam u nas?

— Chodź zawsze, kto to wie co tam jeszcze znajdziemy!

Gdy zesli na dół, nic z początku nie zobaczyli,

tylko piasek, ale po chwili w kącie dostrzegli ogromny stos trawy morskiej, tak wysoki jak stóg siana. Melcia zauważyła, że u samej góry trawy były zupełnie suche, pomyślała zaraz, że będzie można nanosić ich do grotы i usłać łóżko, w każdym razie będzie to posłanie o wiele lepsze, niż twardy piasek, tymczasem wyschną inne i będzie można użyć ich zamiast kołdry, a takie chociaż okrycie będzie ich bronić od zimna. Jak pomyślała tak i zrobiła. Wdrapała się na wierzch i suchą trawę zaczęła rzucać Iwonkowi.

— Układaj ją na pierwszym stopniu schodów — zawołała — a ja później wniosę na górę.

Iwonek był pełen najlepszych chęci, ale małe jego rączki nie mogły objąć na raz większej wiązki, co chwila chodził tam i napowrót. Melcia zeskoczywszy na ziemię, za piątym razem nanosiła już na schody duży pęk suchej trawy.

Zaczął się wnoszenie na górę, dziewczynka będąc silną i zręczną, bez zmęczenia zbiegała z góry na dół, po coraz to nowy transport, malec postępował za nią, a ciężar jego nie był zbyt wielki, niósł pęczek trawy, ciesząc się, że pomaga siostrze. Gdy już cały zapas był na górze, Melcia ułożyła zeń posłanie wysokie; z poduszką pod głowę, wyglądało bardzo wygodnie. Ale brakowało jeszcze kołdry, Iwonek jednak oświadczył, że za nic nie pojedzie więcej na dół, bo jest bardzo zmęczony, nie będzie miał więcej siły wdrapać się na schody, wysokie tak prawie, jak on sam.

(d. c. n.).

ZIARENKO.

Ziarenko w ziemi śpi sobie,
 Nic mu spoczynku nie zniszczy,
 A mroźny wichur w złej dobie,
 Ponad łóžeczkiem mu świszczy.
 Świszczy i huczy wciąż gniewny,
 Śnieg garnąc podmuchy swemi,
 I szuka tryumfu pewny,
 Biednego ziarnka po ziemi.
 A gdy tak gniewny, w tej stronie,
 Huczy i świszczy bez końca;
 Ziarnko śni w ciepłej osłonie
 O blasku lubego słońca.
 Tak jeszcze niejednen dzionek,
 Matka je ziemia osłoni,
 Nim poseł wiosny, skowronek,
 Hymn zmartwychwstania wydzwoni.

POMPA I STUDNIA OGRODOWA.

II.

Byłbym długo jeszcze słuchał opowiadania ojca, ale on wstał nagle.

— A kto podleje nasz ogród? — zapytał. — Deszczu nie było od tygodnia, stąd już widzę, jak sałata poopuszczała listki, a my tu gawędzimy w najlepsze. Dalej mój chłopcze, prędko do konewki. Jakie trzydzieści nie będzie za dużo. Ty będziesz pompował, a ja podleję.

W trzech susach byłem już w ogrodzie i zabrałem się energicznie do roboty. Pompując, rozmyślałem o tem, co mi przed chwilą opowiadał ojciec o wpływie ciepła na ciała. Przypatrywałem się z ciekawością wszystkiemu, co mnie otaczało, odkrywałem wkoło siebie tysiące rzeczy równie mi nieznanych jak były te, których się przed chwilą nauczyłem. Patrząc na spienioną wodę wytryskującą z pompy, zacząłem myśleć, jakim sposobem podnosi się ona w pompie. Rozmýślając tak, napełniałem konewki, a gdy ojciec wylał ostatnią, na ostatnią już grządkę jarzyny, pobiegłem do niego, wziąłem za rękę i przyprowadziłem do studni.

— Proszę cię ojcze! bardzo proszę, wytłomacz mi, jak to woda mogła się dostać do konewki z tej studni, kiedy ona tak głęboka.

— Cożes ty dziś taki ciekawy? mój synu! — rzekł ojciec — rano dopytywałeś się o termometr, teraz o pompę, niedługo, założę się, będziesz chciał coś wiedzieć o barometrze.

— Tak, tak, kochany ojcze, wytłomacz mi to wszystko.

— A więc — rzekł, uśmiechając się ojciec — to powietrze zmusza wodę, aby się podnosiła w pompie. Tego się nie domyślałeś, nieprawdaż Józiu? Powietrze, które nas otacza, którem oddychasz, chociaż jest tak lekkim, ma wszakże pewien ciężar, a ponieważ nad naszymi głowami jest go gruba warstwa, więc ten ciężar jego jest tak wielki, że trudno ci to będzie nawet wyobrazić sobie. Ciężaru tego nie czujesz, gdyż ciśnie na twoje ciało ze wszystkich stron naraz, ze strony prawej, z lewej, z góry, z dołu, wewnątrz nawet. Żyjemy i poruszamy się w powietrzu, jak ryby w wodzie, która przecie jest jeszcze cięższa niż powietrze.

Dziwiło mnie to, co słyszałem. Ojciec zamilkł na chwilę, pozwalając mi namyśleć się trochę, abym lepiej zrozumiał; potem obejrzał się, jakby szukając czegoś, spostrzegł na ziemi źdźbło słomy, podniósł je, nachylił się nad wiadrzem wody stojącym przy studni i rzekł: przypomnij sobie, że woda będąca w tym kubku doznaje ciśnienia, jak wszystkie ciała, na całej swej powierzchni. Spojrz teraz, mam tu słomkę, jeden jej koniec zanurzam w wodzie. Przez tę małą rureczkę nawet, powietrze wchodzi i ciśnie na wodę. Lecz gdybym mógł usunąć powietrze z rurki, cóżby się stało? Woda w wiadrze doznając ciśnienia na całej powierzchni, z wyjątkiem tego jednego punktu, sunęłaby się w rurkę. To właśnie zdarzy się tutaj. Oto drugi koniec słomki biorę w usta, wyciągam z niej powietrze, woda wciska się zaraz na jego miejsce, dochodzi mi aż do ust, tym sposobem mogę pić z kubła. Robiłeś to pewno setki razy, ale nigdy nie zdawałeś sobie z tego sprawy. Doskonała woda jest w tej studni, chcesz się napić w ten sposób? i ojciec podał mi rurkę.

Byłem zachwycony tym nowym sposobem.

— Wyobraź sobie teraz — rzekł dalej ojciec — że jestem olbrzymem, mam ogromną słomę, długą na 10 metrów, mógłbym jej użyć w taki sam sposób, aby się

napić z samego dna tej studni. Wyciągnąłbym wszystko powietrze z olbrzymiej słomy, a jak tylko zrobiłaby się tam próżnia, woda doszłaby do moich ust. Ale ponieważ olbrzymem nie jestem, więc zamiast ust i płuc moich, używamy narzędzi potężniejszych. Pompa przy studni ma właśnie na celu je zastąpić.

Mówiąc to, ojciec podniósł przykrywkę studni, pod którą nigdy dotąd nie wolno mi było zaglądać. Z dreszczem spojrzałem w czarną głębię i ujrzałem wodę na spodzie. Wtedy ojciec pokazał mi grubą, żelazną rurę, idącą wzdłuż ściany studni.

— Rura ta — mówił ojciec — to jakby owa olbrzymia słoma, łączy się ona z wodą za pomocą drugiej rurki węższej. Gdyby rura ta była szklaną, ujrzałbyś wewnątrz niej wałeczek ze skóry, ściśle do niej przystający, zwany tłokiem, który przymocowany do drąga, unosi się za każdym razem w górę, gdy pompujesz. Za każdym razem, gdy tłok podnosi się w górę, wypycha powietrze, w rurze robi się próżnia; woda w nią wchodzi natychmiast. Tłok więc jest owym olbrzymem.

— Rozumiem, rozumiem — zawołałem — ach, jakże rad jestem.

— Zaraz, zaraz, nie spieszymy się zbyt — rzekł ojciec. — Rozumiesz, jak się woda podnosi w rurze, ale to nie wszystko jeszcze, trzeba nie pozwolić jej opaść na dół. Są w tłoku małe drzwiczki czyli zastawki, które mogą się otwierać tylko z dołu do góry. Gdy woda się podnosi, peha zastawki, one otwierają się, woda przez nie wchodzi, a następnie własnym ciężarem zamyka je i zostaje uwięziona nad tłokiem. Tak samo robię gdy mam wodę w ustach, zamykam je, aby nie wypłynęła. Następnie mogę, jeżeli chcę, wodę połknąć, czyli wpuścić ją do gardła. Zamiast gardła, przy pompie jest kurek, przez niego to właśnie woda będąca nad tłokiem wypływa.

Uważałem tak pilnie przy opowiadaniu ojca, że rozumiałem doskonale.

Zacząłem pompować.

— Teraz — mówiłem — wypędzam powietrze z rury — nieprawdaż ojcze? a wypędzone nie ciśnie już w tem miejscu na wodę, a że ta wkoło poza rurą, dźwiga na sobie ciężar powietrza, jest zadowolona, że znajduje wolne miejsce i ucieka tam. Pompuję! raz, dwa, słyszę jak się woda podnosi. Otóż i ona.

Woda rzeczewiście wytrysnęła obficie, ojciec uśmiechnął się, położył mi rękę na ramieniu i powiedział:

— Dobrze, rozumiałeś Józiu.

— Ojcze — zawołałam jeszcze — więc to ciężar powietrza pozwala nam pić i wydostawać wodę ze studni?

— Tak, moje dziecko, jednakże choć ciężar ten jest wielki, ma on tylko taką siłę, że może podnieść słup wody na 10 metrów 33 centymetry wysoki. Gdyby więc nasza studnia była głębsza, pompa odmówiłaby posłuszeństwą, i obok tej masy wody moglibyśmy umrzeć z pragnienia. A ów olbrzym, o którym mówiliśmy, ze swą ogromną słomą, nicby tu także nie zrobił. Ciężar powietrza jest więc ograniczony. Zresztą codziennie ważę powietrze i oznaczam bardzo dokładnie wszystkie zmiany wagi, do tego właśnie służy mi barometr.

S Z A R A D A.

W bogatym świecie roślin, *me pierwsze* jest znane,
I stosowne nazwisko mej rodzinie dane.
Bo czy wiosną, czy latem, czy późną jesienią
Nie zabyśniesz kwiat barwny nad naszą zielenią,
Sam skromny, bez użytku, nie obciążam ziemi,
Zasilając ją stale szczątkami swojemi.
Moje *drugie* wnet znajdziesz w alfabecie rzędzie,
Lecz i w znakach muzycznych również zawsze będzie.
Me *wszystko*, w ręku mistrza to płacze, to śpiewa,
Jak słowik, gdy na wiosnę nuci w cieniu drzewa.

ŁAMIGŁÓWKA ARYTMETYCZNA.

Było to w czerwcu, Józio znalazł 3 gniazdka z których zabrał jajka. W pierwszym było 5, w drugim 4 a w ostatnim 6 jajek, 3 jajka stłukły mu się w drodze, jedno zgubił. Po wydmuchnięciu jajek, Józio chciał zrobić z nich naszyjnik dla siostry, na który potrzebował 16 jajek. Wieleż więc miał ich razem i wiele mu jeszcze brakowało? Gdyby znalazł jeszcze jedno gniazdko z 3-a jajkami, wieleżby mu jeszcze wtedy brakowało? a gdyby tam było 6 jajek, wieleżby miał ich zawiele?

ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

Pieszczoszka rodziców dla Paproci z nad Utraty.

Wynaleźć 6 wyrazów sześciogłoskowych, aby litery oznaczone gwiazdkami złożyły nazwę rzeki wpadającej do m. Bałtyckiego. Znaczenie wyrazów: 1) Miasto we Włoszech. 2) Dopływ Wisły. 3) Stolica państwa w Europie. 4) Dopływ Gangesu. 5) Miasto nad Wezerą. 6) Wyspa na oceanie Indyjskim.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 1-go.

Zagadki: O — świat — A.

Zagadki: Rok i 4 pory roku.

Skrzynka do listów.

P. G. ze *Zdobunowa* prosimy wierzyć, że najchętniej czynilibyśmy zadość życzeniu Szanownego Pana wysyłając tak jak tego pragnął 1-szy numer *Wieczorów*, lecz przyspieszyć druk pisma i wysłać go przed oznaczonym terminem, jest zupełnie dla nas niemożliwym. Za życzliwe zamiary wdzięczni jesteśmy.

Redakcja i Jaskółka dziękują ci za pamięć *Sikorko litewska*. Nie kłopotuj się tem zbyt, że mylnie sobie wytłomaczyłaś znaczenie obrazka, idzie nam głównie o styl i myśl wypracowania,

Cieszymy się że *K. W. z Petersburga* z taką przyjemnością czytuje *Wieczory*, że nawet pieniądze otrzymane od rodziców na *Gwiazdkę* przeznacza na ich prenumeratę. *Łamigłówka* lubo z ręcznie ułożoną, treścią nie nadaje się do druku, może *K. W.* zechce inną ułożyć, a jeśli będzie odpowiednią, zamieścimy ją chętnie.

Nie wątpimy, że siedmioletnia *Józia G.* z korzyścią czytywać będzie *Wieczory*, skoro już umie tak ładnie i poprawnie pisywać listy z życzeniami świątecznymi, za które dziękujemy serdecznie.

Od p. *S. K.* z gnb. *Kijowskiej* otrzymaliśmy rs. 3. kop. 50, od *Irenki I.* rs. 1 dla biednych, od *Maniusi K.* kop. 50 na kolonie letnie; pieniądze te stosownie do woli ofiarodawców użyte zostały.

Żądaniu p. *K. Z.* z *Podgórz*a staraliśmy się zadość uczynić. Marki doszły rąk naszych.

Za przysłany opłatek i pamięć dziękujemy *Cyganeczce* zapisanej już u nas na liście prenumeratorek, *Wieczory* zatem pod własnym adresem będzie odbierała. List przekonał nas, że potrafi akuratnie i porządnie interesu z Redakcją oobiście załatwiać. Żądaną powieść wysłaliśmy.

Żałujemy, że *Góralka* z *Zakopanego* nie mogła nadesłać objaśnienia obrazka. Rebusik przejrzymy.

Piszesz nam *Amadorze*, że chociaż nauka nie przychodzi ci z łatwością, cenzurę na święta miałeś dobrą. Tem większą masz zasługę i życzymy ci abyś zawsze starał się mężnie pokonywać wszelkie trudności. Szaradę i arytmograf przejrzymy.

Dobrze ułożyłaś nadesłaną nam zagadkę *Sprytna Filutka*, tylko że podobnej treści zagadki mieliśmy już razy kilka w *Wieczorach*, o czym zapewne nie wiedziałeś jako niedawna prenumeratorka. Spróbuj coś nowego ułożyć, a chętnie z pracy twojej korzystać będziemy. *Jaskółka* zasyła ci równie jak *Wesołej Figlarce* przyjazne pozdrowienie.

Skoro pragniesz *Wysepko* zaznajomić się z *Jaskółką*, możesz wprost do niej napisać, a ona ci chętnie odpowie.

Cieszę się, że chcesz ze mną korespondować *Marusiu* z *Czarnomina* lubię bowiem dziewczynki w twoim wieku, które uczą się pilnie, a przytem nie grzeszą zarozumiałością i do wad swoich przyznają się szczerze. Jest to już pierwszym krokiem ku dobremu i nie wątpię że niebawem doniesiesz mi, że się z tych wad poprawiłaś.

Dziękuję ci *Poczworko*, (lubo nie godzę się na ten pseudonym dla ciebie) za przesłane życzenia, za które odpłacając wzajemnością, radabym, żeby objaśnienie obrazka, o którego los zdajesz się być niespokojną, wypadło ci pomyślnie.

Dobrze zrobiłaś *Maniusiu K.* przelamując pierwsze lody, mam bowiem nadzieję, iż przekonasz się niebawem, jak łatwo ze mną wejść w przyjazne stosunki, tem więcej, że lubię bardzo dziewczynki, które pamiętają o biednych dzieciach i szyją dla nich własnoręcznie sukienki.

Cieszę mnie pomyślny rezultat egzaminów twoich *Żabie Oczko*, równie jak i to, że chociaż jesteś najmłodszą w klasie nauka przychodzi ci z łatwością. Nie mam też do ciebie pretensyi, że zajęta pracą nie pisywałaś do mnie często, rozumiejąc bowiem ważność obowiązku pierwsza zawsze zachęcam do poświęcenia dla niego wszelkich przyjemności. Pojmuję jak święta mile wam zeszyły i jak radosną była chwila, w której mogliście przy choince wigilijnej dzielić z gromadką biednych dzieci, podarki otrzymane od rodziców. Żyją być musi wdzięczność wasza dla tych dobrych rodziców, którzy w taki sposób szczepią w wasze młode serduszka miłość bliźniego i utrwala ją poczucie, że przyjemność z drugimi podzielona nabiera większej wartości.

Skoro odpowiedź moja nie zastanie cię już w domu *Gałązko Heliotropu* za pośrednictwem *Lewkonii różowej* przesyłam ci podziękowanie za list twój bardzo dla mnie zajmujący. Pragnę dla ciebie nadal postępów w naukach, wytrwałości w pracy, uprzejmości w obęściu, umiejętności zjednywania serc ludzkich, a w dodatku trochę pamięci o niezmiennie życzliwej ci:

Jaskółce.